

Rozdział I: Nieoczekiwany gość

„Nie bądź śmieszna, głuptasku! Nie płacz! Nie masz powodu, żeby siąkać nosem i mazać się jak źrebię. Ja zresztą też nie. Moje życie było super! Przygody! Imprezy! Przyjaźń...

Equestria to fajne miejsce. Nie ma co płakać. Jestem stara, więc umieram. Nawet Słońce kiedyś zgaśnie...

Co? Że opowiadam bzdury? Hihi! Żartowniś z ciebie! Swędzi mnie kopytko, drży mi uszko, łaskocze mnie ślepa kieszka. To znaczy, że Słońce kiedyś zgaśnie. Skąd wiem? Bo tak. Czasem trzeba uwierzyć na słowo. Zapytaj Twilight. Ona wie.

Tak... Nie płacz, że odchodzę. Equestria jest super. Ciesz się nią. Ciesz się Słońcem. Dopóki jeszcze możesz...”

– Ostatnie słowa Pinkie Pie, Powierniczki Elementu Śmiechu, 434 lata przed Dniem, w którym Zgasło Słońce.

Obudziły mnie padające na moją twarz promienie słońca, prześwitujące przez szczeliny w żaluzjach. Powoli otworzyłam oko i spojrzałam na stojący na podłodze pośród rozrzuconych książek cyfrowy zegar. Powinnam być w biurze za czterdzieści dwie minuty. Wcale nie najgorzej.

Usiadłam na łóżku i przeciągnęłam się, potrząsając z lekka głową, aby odpędzić resztki snu. Miejscowa doba trwała mniej więcej tyle samo co na Ziemi, ale i tak nadal się do niej nie przyzwyczaiłam, mimo że byłam tu już prawie pięćdziesiąt dni.

Planeta, na której się znajdowałam, nosiła niezwykle poetycką nazwę E-1729Y i była niewielkim skalistym globem typu equestriańskiego, niemal w całości pokrytym smaganymi wiatrem stepami, oświetlanym przez bladoniebieską gwiazdę ciągu głównego. Układ planetarny położony był na rubieżach przestrzeni kontrolowanej przez Sojusz Systemów Ziemi i pozostawał kompletnie niezamieszkały. Nie znajdowało się tam nic godnego uwagi... chyba że ktoś wiedział, gdzie szukać.

Wstałam z łóżka i poczłapałam do łazienki, po drodze potykając się o moją zaczytaną na śmierć kopię pierwszej części serii o Daring Do. Łazienka siłą rzeczy była ciasna i spartańsko wyposażona – prysznic, umywalka, toaleta i nic więcej. Wcale mi to jednak nie przeszkadzało, przecież nie każdy może spełniać swoje największe marzenie i jeszcze dostawać za to pensję. Ja spełniałam swoje od prawie dwóch miesięcy. Uśmiechnęłam się szeroko.

Stałam przed wiszącym nad umywalką lustrem, spoglądając na swoje odbicie. Opadająca mi na oczy jasnozielona grzywa była jak zwykle w malowniczym nieładzie, niepoddającym się grzebieniowi ani lakierowi do włosów. Moje oczy były zaczerwienione od niewyspania. Słowem, wyglądałam jak siedem nieszczęść.

Kiedy wrócę do domu, pomyślałam, to zafunduję sobie wypad do jednego z tych luksusowych spa w Nowym Vanhoover. Może nawet strzelę sobie pedicure.

Pół godziny później, wykąpana i nabuzowana od wypitej przed wyjściem kawy opuściłam prefabrykowany barak mieszkalny, który przez ostatnie osiem tygodni był moim domem, i ruszyłam w kierunku biura, mieszczącego się w złożonym z gotowych modułów budynku znajdującym się po drugiej stronie obozu. Z lewej strony dostrzegłam oddalony o jakieś dwieście metrów wykop, w którym kierowany przeze mnie zespół archeologów przez ponad miesiąc bezskutecznie poszukiwał czegokolwiek, co miałoby jakąkolwiek wartość... Aż do wczorajszego ranka.

Uśmiechnęłam się, z trudem opanowując entuzjazm. Takie odkrycie na pierwszym wykopalisku! Dziewczynom ze studiów opadną szczęki. A Lavender chyba eksploduje z zazdrości. Dwa razy.

Wkroczyłam do biura, omijając jednego ze strażników, znudzonego czerwonorudego kuca ziemnego w jednostajnie szarym pancerzu, z siodłem bojowym uzbrojonym w przydzielowy karabin szturmowy. Mimo że byłam tam już prawie dwa miesiące, to nadal miałam trudności z rozróżnieniem jednego wartownika od drugiego. Jednolity ekwipunek, który zakrywał ich znaczki, sprawiał, że wszyscy wyglądali tak samo. Oczywiście wszyscy za wyjątkiem Looking Glass, ale ją ciężko było pomylić z kimkolwiek.

— Scribble, leniu patentowany, czemu ekipa jeszcze nie pracuje? Czekasz na specjalne zaproszenie, czy co? — huknęłam w kierunku siedzącego za biurkiem wychudzonego niebieskiego kuca, który aż podskoczył, zaskoczony moim przybyciem.

— Rety, Applecore, nie musisz krzyczeć. Nie jestem twoim sekretarzem — odparł ogier, posyłając mi urażone spojrzenie.

— Ach tak? Dobra, skoro tak twierdzisz — rzekłam z udawaną powagą. To były moje pierwsze wykopaliska po zakończeniu studiów, do tego od razu na stanowisku kierowniczkich robót. Po raz pierwszy w życiu mogłam rozkazywać innym kucykom i wstyd się przyznać, ale chciałam wykorzystać okazję do maksimum. W końcu nie wiadomo było, kiedy trafi mi się następna.

— Tak — odparł Scribble, poprawiając okulary i ponownie spoglądając na ekran komputera, w który wpatrywał się, kiedy weszłam do biura. — Ekipa nie pracuje, bo nie może. Przyszło specjalne polecenie z góry.

— Specjalne polecenie? — Uniosłam brew. Nasza zleceniodawczyni dała mi wolne kopyto w projekcie. Nigdy się nie wtrącała. Najwyraźniej wczorajsze znalezisko zrobiło na niej wrażenie.

— Tak jest. Mamy wstrzymać prace i czekać na jej przybycie. Zdaje się, że chce dokonać inspekcji.

Mój uśmiech zniknął.

— Inspekcji? I dopiero teraz mi to mówisz?! — Rozejrzałam się dookoła w panice. — Świetnie, po prostu super! Kiedy tu będzie? Może jeszcze zdążymy ogarnąć trochę obóz...

— Eee, chyba za... — chudy ogier ucichł, unosząc uszy.

Przekrzywiłam głowę, nasłuchując. Z zewnątrz dochodził przytłumiony, ale niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek odgłos lądującego promu.

—...zaraz? — dokończył Scribble, uśmiechając się przepraszająco.

Prom wisiał już nad lądowiskiem, wysuwając podwozie. Mrużąc oczy, po raz ostatni poprawiłam grzywę, choć w kurzawie wzniecanej przez silniki lądującego statku był to całkowicie bezcelowy gest.

— A więc szefowa w końcu raczyła pokazać swój jaśnie wielmożny zadek w naszej zapomnianej przez Lunę dziurze, co? — odezwał się zza moich pleców wesoły głos. Odwróciłam się, spoglądając na stojącą niedbale strażniczkę o białej sierści i grzywie koloru słomy, odzianą w wypolerowany jak lustro szary pancerz. Jego powierzchnia była tak gładka i połyskliwa, że wyraźnie widziałam w nim swoje odbicie.

— Nie powinno cię tu być, Looking Glass — powiedziałam dosyć kwaśno. Nie byłam w nastroju na jej wygłupy.

— Oj tam, poradzą sobie beze mnie. Fajnie będzie w końcu zobaczyć, kto nam płaci. No i zawsze lepiej wygląda, jak na gościa czeka eskorta. — Biała klacz wykonała przesadny salut, wyprężając się jak struna.

Przewróciłam oczyma i skinęłam głową, mając nadzieję, że Glass nie zrobi czegoś wyjątkowo głupiego. Blondwłosa najemniczka – obozowi strażnicy byli częścią kompanii najemniczej należącej do korporacji ERC – od pierwszego dnia dbała o to, żeby w obozie nigdy nie było nudno. Lekceważyła oficerów, wyzywała kopaczy i techników na pojedynki w jedzeniu serwowanej w stołówce paćkowatej marchewki z groszkiem oraz potajemnie skonstruowała w jednym z magazynów w pełni funkcjonalną gorzelnię, za co omal nie odesłano jej z powrotem na Ziemię. Jakoś jednak udało się jej uniknąć wydalenia z obozu oraz degradacji, gorzelnia działała nadal, a jej bezpośredni przełożony bardzo poweselał, zwłaszcza kiedy nie był na służbie.

Szczęk podwozia lądującego promu wyrwał mnie z zamyślenia. Widząc, jak na burcie statku otwiera się właz, przybrałam najbardziej profesjonalny wyraz twarzy, jaki tylko umiałam, ostatni raz poprawiając potarganą podmuchami grzywę.

Nigdy wcześniej nie widziałam mojego pracodawcy. Podejrzewałam, że będzie to jakaś spasiona arystokratka, ewentualnie persona o wyglądzie szalonego naukowca – tylko tak potrafiłam wytłumaczyć to, że ktoś wydałby prawie trzydzieści milionów kredytów na ekspedycję archeologiczną na planetę taką jak E-1729Y, z niemal zerowymi szansami na znalezienie czegokolwiek, w dodatku z kierowniczką robót, która dopiero co odebrała dyplom. Oczywiście, w końcu coś znaleźliśmy – nawet więcej niż zwykle „coś” – więc w sumie nie wyszło to tak źle. Było to jednak niesamowicie ryzykowne posunięcie, biorąc pod uwagę możliwe straty.

Kucyk, który wyłonił się z wnętrza promu, w niczym jednak nie przypominał czegokolwiek, co sobie wyobrażałam. Po pierwsze, stojąca przede mną jasnoniebieska klacz była pegazem. Widziałam je na żywo tylko kilka razy w życiu – raz w dzieciństwie, a

potem dwa lub trzy razy na uniwersytecie; od prawie stu lat, od czasu bitwy o Szmaragdowe Oko, inne rasy rzadko odwiedzały Ziemię, stołeczną planetę kucyków ziemnych. Widok kuczka posiadającego skrzydła albo róg był czymś wysoce niespotykanym. Po drugie, wcale, ale to wcale nie wyglądała na arystokratkę, a już tym bardziej na szalonego naukowca. Miała na sobie lekki, ale – o ile byłem w stanie ocenić – wysokiej jakości pancerz koloru śniegu, a jedno z jej skrzydeł zastąpiono grafitowoszarą, cybernetyczną protezą, w której świeciło kilka niewielkich, misternie oszlifowanych błękitnych klejnotów.

— W-witamy na E-1729Y, pani... — urwałam, uświadamiając sobie, jak idiotycznie to zabrzmiało oraz że nigdy nie poznałam imienia mojego pracodawcy.

— Serene — odpowiedział spokojnie pegaz. Odziana w biel klacz wręcz emanowała tym jednym uczuciem – spokojem. Wystarczyła ledwie rzut oka, by móc się domyślić, że niezmiernie trudno byłoby wyprowadzić ją z równowagi. Nie wiedzieć czemu, poczułam się trochę nieswojo.

— Tak, oczywiście — zająknęłam się. — Jestem Applecore, kierowniczka wykopalisk. Rozumiem, że jest tu pani, aby dokonać inspekcji?

— Chciałabym po prostu rzucić okiem na odkopany wczoraj artefakt. Mam nadzieję, że moja wizyta nie zakłóci programu prac? — odparła Serene. Mówiła uprzejmym, przyjaznym tonem, ale w jej głosie było coś jeszcze, coś niemal nieuchwytnego; nie potrafiłam powiedzieć, co dokładnie, choć miałam to na końcu języka.

— Ależ skąd, oczywiście, że nie. — Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu, który, miałam nadzieję, wyglądał na szczery. — Proszę za mną, stanowisko nie jest daleko.

Ruszyliśmy w stronę wykopu, samym środkiem obozu. Glass najwyraźniej uznała, że trzeba zabezpieczyć nam tyły, gdyż szła parę kroków za naszymi ogonami, łypiąc podejrzliwie na każdego, kto choćby spojrzał w naszą stronę.

— Wszyscy członkowie ekspedycji są kucykami ziemnymi? — zapytała nagle Serene. Najwyraźniej Looking Glass nie była jedyną, która się rozglądała.

— Tak jest. Nawet ochrona — odparłam. Normalnie takie pytanie byłoby zdecydowanie nie na miejscu, jednak w tonie niebieskiej klaczy nie dało się słyszeć typowego dla większości pegazów (nie wspominając o jednorożcach) protekcyjnego tonu. — Zespół wykopaliskowy składa się niemal wyłącznie z absolwentów Uniwersytetu w Nowym Vanhoover.

— Rozumiem — odparł pegaz tym samym spokojnym, lecz dziwnie zabarwionym tonem. — Czy mogłaby mi pani powiedzieć coś więcej o wczorajszym odkryciu?

Zająknęłam się, zaskoczona uprzejmością niebieskiej klaczy. Odchrząkując lekko, odpowiedziałam:

— Oczywiście. Ponad wszelką wątpliwość jest to dzieło Starożytnych, najprawdopodobniej moduł komunikacyjny lub jakiś rodzaj nośnika danych podobny do tego, który ponad trzysta lat temu odkryto w pasie asteroid w układzie słonecznym Equestrii. Jest znakomicie zachowany, ale niestety wydaje się być niesprawny. Jeszcze nie próbowaliśmy go uruchomić, ale wątpię, czy jest to w ogóle możliwe. Przewiduję także, że to tylko pierwsze z wielu znalezisk, tego typu urządzenia rzadko kiedy znajdowano w

odosobnieniu od większych kompleksów ruin. Tak czy tak, jestem pewna, że moja uczelnia wraz z władzami Sojuszu bez mrugnięcia okiem wyłożą za niego dwukrotność poniesionych przez panią kosztów.

A przy odrobinie szczęścia pozwolą mi brać udział w dalszych badaniach, pomyślałam, wydając w myślach pisk radości.

— Och, pieniądze nie mają znaczenia — powiedziała Serene, jakby była to najzwyklejsza rzecz we wszechświecie. Zbiło mnie to nieco z pantałyku. Nawet Glass przestała pogwizdywać pod nosem, zaskoczona.

Po chwili zatrzymaliśmy się, doszedłszy do krawędzi głębokiego na ponad dziesięć metrów wykopu. Looking Glass, odprawiona moim wymownym spojrzeniem, uniosła oczy ku niebu i odeszła w kierunku obozu, mrucząc pod nosem inwektywy. Następnie zesłam wraz z moją pracodawczynią w głąb odkrywki po rampie usypanej dla ciężkiego sprzętu używanego do usuwania kolejnych warstw ziemi.

Artefakt miał kształt wysokiego na ponad cztery metry obelisku ze ściętym wierzchołkiem, wyciętego z kryształu koloru morskiej wody, osadzonego w metalowej, trapezoidalnej podstawie. Powierzchnia kryształu pozostawała martwa i matowa, tak że z trudem można było dostrzec wyryte na niej z mikronową precyzją runy. Całość stała na płaskiej, kolistej płycie z białego marmuru, otoczonej półkolem wysokich, idealnie regularnych kamiennych tablic, gładkich i wypolerowanych jak lustro.

Nie wahając się, Serene podeszła do samej podstawy obelisku, z nieodgadnionym wyrazem twarzy spoglądając na gładką kryształową powierzchnię.

— Nikt nie próbował go uruchomić?

— Jak już mówiłam, nie — oparłam. — Nie wiem nawet, czy bylibyśmy w stanie to zrobić przy użyciu sprzętu, którym dysponujemy.

— To dobrze — powiedziała Serene, tak cicho, że niemal jej nie usłyszałam.

Nagle powietrze przeszył huk silników dochodzący do strony obozu. Spojrzałam w jego kierunku, zaskoczona. Był stanowczo zbyt głośny, by mógł należeć do promu, lub nawet któregoś z zaopatrujących naszą ekspedycję transportowców.

— Miałam nadzieję, że uda się tego uniknąć — powiedział niebieski pegaz, nie odwracając się. — Niestety, stało się inaczej.

Zamarłam, słysząc, jak do łoskotu silników dołączają odgłosy strzelaniny. Zanim otrząsnęłam się z szoku, hałas przybrał na sile, a znad krawędzi wykopu wyłonił się nie większy od fregaty, przypominający owada statek, który natychmiast zrzucił do wykopu kilka niewielkich, zwartych obiektów. Uderzyły one z impetem o ziemię, wzniciając tumany pyłu, zmuszając mnie do odwrócenia twarzy z powrotem w kierunku artefaktu i mojej pracodawczyni.

Serene powoli uniosła nogę i dotknęła kopytem powierzchni kryształu. Obelisk momentalnie rozjarzył się łagodnym, zielonym blaskiem. Moje oczy rozszerzyły się, kiedy patrzyłam, nie wierząc w to, co widzę.

Usłyszałam za sobą kroki oraz niemal niesłyszalny w łoskocie silników wiszącego nad nami statku dźwięk pracujących serwomechanizmów. Kłęby kurzu częściowo rozwiały

się, ujawniając, czym były obiekty zrzucone przez wiszący nad wykopaliskiem statek. Ujrzałam podobne kucykom biało-czarne maszyny z pojedynczym, przywodzącym na myśl włączoną latarkę okiem, które z mechaniczną precyzją kroczyły w moją stronę. Celowały we mnie swoją bronią, przytwierdzoną do boków na wzór siodeł bojowych.

Zrobiłam niepewny krok w tył; nogi ugiwały się pode mną, odmawiając posłuszeństwa. Przerazenie mieszało się ze zdumieniem. Widziałam już kiedyś te kucykokształtne maszyny, dawno temu, na rysunku w książce do historii, w sekcji poświęconej zebrom.

— Stało się inaczej — odezwała się ponownie Serene, odwracając się, by stanąć ze mną twarzą w twarz. W jej oczach lśniły łzy. — Ale nie ma innej drogi. W obliczu tego, co ma nadejść, wszyscy zostaniemy zmuszeni do dokonania wyboru.

W momencie napędzanej adrenaliną paniki w końcu zrozumiałam, czym był ów dziwny ton w głosie odzianego w biały pancerz kucyka.

Smutek.

— Wybacz mi, Applecore.

Oczy pegaza rozjarzyły się, zmieniając się w dwie plamy białego światła. Biotyka Serene z olbrzymią siłą uniosła mnie w powietrze i rzuciła w kierunku jednej z kamiennych tablic. Krew obryzgała biały marmur, splamiła moja szarą sierść. Uderzyłam o ziemię, niezdolna do ruchu, sparaliżowana bólem oraz ogarniającymi mnie zimnem i ciemnością.

Ostatnim, co zobaczyłam, była Serene, unosząca się w powietrzu przed obeliskiem, otoczona emanującym z niego zielonym, magicznym blaskiem.